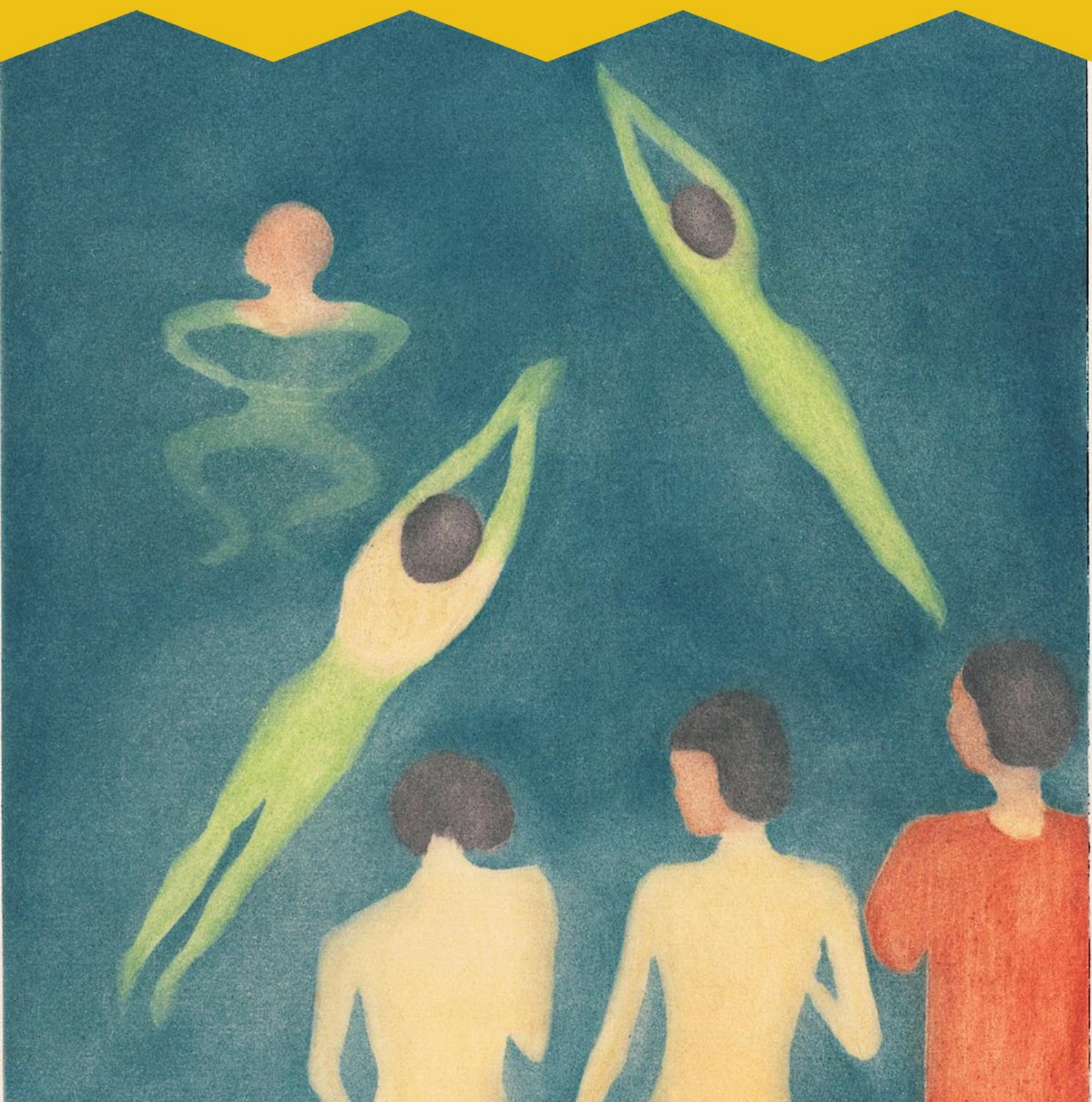


Długie czerwone światło



JUSTYNA BARGIELSKA

Długie czerwone światło

Stałam w kolejce do zieleniaka, a pod drzwiami szkoły języka angielskiego dla dzieci leżała pogryziona cielista kredka zatemperowana z obu stron, taka z grubszych. Stałam w czerwcu, gdy jeszcze pilnowaliśmy dystansu. Kupowałam truskawki, buraki, ziemniaki, włoszczyznę nie młodą i po cytronecie dla dzieci. Za mną stał obcy mężczyzna, który mniej pilnował dystansu, bo miał maseczkę. Kupując truskawki, buraki, ziemniaki i niemłodą włoszczyznę wychyliłam się nieco w lewo, w jego stronę, sprawdzić, czy jeśli po wszystkim podejmę kredkę spod drzwi szkoły języka angielskiego, on to zobaczy. Sprawdziłam to bardziej przez wzgląd na niego, na jego wrażliwość, na jego zdolność przyjęcia rzeczywistości taką, jaka jest, i czy go obejdzie bardzo, że ma sąsiadkę śmieciarę. Nie miał szans tego zobaczyć, więc odchodząc, podjęłam kredkę. Była cielista, pogryziona i zatemperowana na obu końcach. Już dawno nie ucieszył mnie tak żaden dar losu. Bo też jeśli chodzi o kolor cielisty, ostatnimi czasy dostawałam od losu głównie mężczyzn.

Była cielista, pogryziona i w kotki. Kotki były na niej narysowane, z tym że jeden rudy, a drugi był właściwie sówką i w dodatku potem ten pierwszy, po przyjrzeniu się, okazywał się liskiem, a drugi w ogóle znikał. Stworzenie, wiadomo: nic pewnego. Pokochałam tę kredkę od pierwszego wejrzenia. Pokochałam ją, więc podjęłam ją z ziemi. Ludzie lubią deklarować, że czegoś pragną, a potem żyją żarliwie na odwrót, żeby tylko tego nie zdobyć. Nigdy tak niestety nie miałam: podobało mi się, podejmowałam, potem dopiero zastanawiając się, czy mam gdzie postawić.

Z cielistych stworzeń, które podjęłam ostatnio, najmniej pogryziony był Mateusz. Spotykaliśmy się od niedawna, ale w atmosferze zrozumienia, w takim sensie, w jakim mówi się o zrozumieniu w negocjacjach biznesowych. Szybko ustaliliśmy, że interesuje nas coś, co nazywaliśmy wychnieniem i co najwyraźniej nawzajem sobie byliśmy w stanie dać, bo dla czego nie.

Podjechał pod mój dom mnie zabrać i w sumie nie rozmawialiśmy długo, bo najważniejsze sprawy były ustalone. Dojechaliśmy nad jezioro, on zaparkował tyłem, żeby łatwiej było wrócić.

— Co powiemy wędkarzom? — spytałam.

— A co chcesz im powiedzieć? — zapytał.

W ogóle nie chciałam z nimi rozmawiać. Wędkarze to najgorsze chuje, rozmowa z nimi nie ma sensu. Płyniesz pod wodą przez trzy godziny, wynurzasz się, a oni rzucają w ciebie kamieniami i mówią, że płynęłaś za głośno.

— Może ich nie będzie.

— A jak będą?

— Zabijemy ich — Mateusz nie był w stanie zabić komara i mówił tak tylko, żeby było mi przyjemnie.

I było. Zwłaszcza, że oni zabijali naszych. Kiedyś zabili kajakarza. Też płynął za głośno. Rzucili w niego kamieniem. Dobił do brzegu i oddał im ten kamień. Zadzgali go scyzorykiem do sprawiania ryb. Bardzo niski wyrok dostali wędkarze potem, chyba nawet w zawieszaniu, bo byli siedemdziesiąt plus, a kajakarz był młody i miał naturalną przewagę. Naturalna przewaga młodości, prawniczy dogmat, którego nigdy nie zrozumiałem. Na

pamiętkę tego dogmatu ktoś machnął olejną farbą krzyż na kamiennym obrzeżu kanału. Raz go mijaliśmy, też w drodze nad wodę, wywołał we mnie napięcie:

— Muszę popływać — powiedziałam. — Wysiadam.

— Tu jest sześć metrów, wiesz — powiedział. — A jak nie wypłyniesz?

— To będziesz musiał zwalić sobie sam.

Ogromnie nie lubił, jak tak mówiłam, bo wyobrażał sobie, że wytchnienie jest ze swej istoty romantyczne, a mamy romantyczną relację.

Oczywiście, żeśmy mieli, pamiętam te trzydzieści sekund: jechaliśmy Modlińską, stając na kolejnych światłach. Przedtem otrąbiono nas na Ćmielowskiej, gdy przed sygnalizatorem próbowaliśmy się pocałować. Ale to była Modlińska, ulica czerwonej fali.

— Tu jest długie czerwone światło — powiedziałam. Nachylił się do mnie. — Ależ tytu! — ucieszyłam się. — Zapiszę — wyjęłam telefon. Odsunął się. Zapisałam „długie czerwone światło”. Światło nadal było czerwone, więc nachylił się znowu i wtedy światło się zmieniło.

— Nie spieszyłeś się — powiedziałam.

— Pracowałeś — uśmiechnął się. — Nie chciałem przeszkadzać.

To był nasz romantyczny moment. Potem starałam się podobnych unikać, bo wiedziałam, że tego nic nie przebije.

Akurat nad jeziorem nie było nikogo. Rozebraliśmy się i weszliśmy, ja po konarze, a Mateusz po prostu. Lubiałam się popisywać zmysłem równowagi i zdrowym stosunkiem do nagości, starałam się nie myśleć, że gdybym się poślizgnęła, mogłabym zetrzeć sobie nagość do krwi, a jeszcze nie daj Boże nadziać się na coś, co nie nadaje się do nadziewania. Na końcu konaru siadałam boczkami jak amazonka z obrazu i łagodnie spuszczałam się do wody. Mateusza cieszył ten teatr, bo widział w nim przejaw mojej dziecięcej radości życia.

— Płyniemy do wysepki? — zapytał. Nie bardzo chciałam płynąć do wysepki, bo piłam wcześniej wino. Udało mi się to jakoś przed nim ukryć, bo nie lubił mojego picia w dzień: nie grało mu to z dziecięcą radością. Ale do wysepki był kawałek, a sam cel nie aż tak pociągający: wysepkę też zdobił krzyż, nawet gorzej niż namalowany, bo zbity z gałęzi brzozy. Tym razem chuje wędkarze nie mieli z tym nic wspólnego: jakiś dzieciak się tu kiedyś utopił, bo to nie było jezioro do pływania, tylko starorzecze Wisły, akwen o, umówmy się, bardzo zmiennych parametrach. Wolę to określenie niż „zdradliwy”. Przyszło lato, wakacje, dzieciak przyjechał tu z innymi dziećmi na rowerze. Można powiedzieć, że zabiła go dziecięca radość.

Popływaliśmy i jednak przywłókl się wędkarz.

— Może mi pani wychodząc podać ten szałwik? — zawołał.

Szałwik był zielono-pomarańczowo-biały i unosił się jakiś metr ode mnie. Już wcześniej sprawdziłam, że nie miał doczepionego haczyka. Mimo że to o haczyk rozharatałam sobie kiedyś stopę, ześlizgując się jak najada po konarze, bardziej bałam się szałwików: równie dobrze mogły być, jak nie musiały do nich doczepione haczyki. Szałwik mógł być zarówno życzliwym ostrzeżeniem o realnym niebezpieczeństwie jak i nieszkodliwą, barwną dekoracją. Im częściej trafiało się na szałwiki, do których nie przyczepiony był haczyk, tym rzadziej spełniały one funkcję ostrzegającą i ostatecznie traciło się czujność i kończyło z haczykiem w nodze. Chwyciłam szałwik, dopłynęłam do brzegu, wyszłam z wody, podeszłam do wędkarza.

— Proszę — powiedziałam wyciągając rękę i dopiero potem sięgając po leżący na trawie ręcznik. Mateusz przyglądał się tej scenie z aprobatą. Później długo całowaliśmy się w samochodzie zaparkowanym pod moim blokiem od strony zieleniaka: właściwie nie wolno było tam parkować, chyba że w trybie *kiss and ride*.

Gdy nie było czasu na hotel albo mój dom był pełen ludzi, jeździliśmy też pod żelazną, kutą bramę ukrytego w lesie pod Jabłonną pustostanu. Właściwie nie wiem, czy lubiłam to bardziej czy mniej niż łóżko, a idąc dalej, bardziej czy mniej niż swoje łóżko czy niż łóżko w hotelu. A idąc jeszcze dalej, niebezpiecznie daleko, czy lubiłam bardziej łóżko w hotelu czy w moim domu. Na własny użytek nie robiłabym tych rankingów, ale Mateusz często pytał, na co mam dziś ochotę, co sprawiało, że zamykałam się w sobie, nie potrafiąc udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Bardzo nie chciałam być kobietą, która nie potrafi powiedzieć, na co ma ochotę. Przez jakiś czas, gdy pytał: „na co masz dzisiaj ochotę?” odpowiadałam: „tak”, ale dość prędko przestało to być śmieszne. Dla mnie, bo dla niego nadal było. Tylko że on powiedział o moich zębach, że są śliczne i o moich znamionach, że są hipnotyzujące. Nie było sensu go słuchać, a z drugiej strony bardzo pragnęłam mu odpowiadać. W istocie toczyłam ciągłą walkę o to, żeby nie było widać ciągłej walki, którą ze sobą toczyłam: walki o to, żeby nie pogрузić się w rozmowie sama ze sobą w najbardziej nieodpowiednim momencie.

Czyli brama mogła być najlepsza, bo miała przebieg jak średniowieczna bitwa, odbywała się szybko i z rozmachem, i w wysokich temperaturach, bo nie otwieraliśmy okien samochodu ze względu na komary.

— Mam godzinę — uśmiechnął się przez telefon Mateusz jakoś pod wieczór. — Czekam pod zieleniakiem. Na co masz ochotę?

— Na bramę mam — odpowiedziałam solennie. — Idę na dwór — rzuciłam dzieciom i bardzo serio zesłam pod zieleniak.

Zanim dojechaliśmy, choć jechaliśmy długo, podniecona byłam umiarkowanie, chociaż tradycyjnie cieszyło mnie otoczenie, nagość, zaparowane szyby i kolejna walka, którą toczyłam tym bardziej, żeby nie ulec pokusie narysowania na zaparowanym oknie serduszka. Lub penisa. On skończył, ja nie bardzo, ale trzeba było się zbierać. Jechaliśmy z powrotem tą drogą krajową wśród lasów, gdy na drogę wyskoczył króliczek. Jakby kunka. W bocznym lusterku zobaczyłam grubą kobietę, która goniła tę kunkę, a kunka to zawracała ku grubej kobiecie, to próbowała wpaść pod któryś z nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów. Jak one pędziły! Jakby były bezzałogowe. Kunka miała na głowie kokardkę: w panice miotła się chaotycznie i pomyślałam, że pewnie podobny widok miał pod mikroskopem Brown, kiedy obserwował kwiatowe pyłki w zawieszynie wodnej. „Już po tobie, piesku”, pomyślałam i zasłoniłam oczy. „Muszę wykonać jeszcze jeden gest”, pomyślałam, „i upadek będzie kompletny”.

— Zrób coś — powiedziałam do Mateusza, wciskając palce w oczy tak mocno, aż zobaczyłam pokaz świetlnych fontann, który odwrócił moją uwagę od obrazu rozjechanego przez samochód yorka.

Małe pieski rozjeżdżane przez samochody stanowiły dla mnie większy problem niż duże pieski rozjeżdżane przez samochody, a nawet niż sarny, łosie czy ludzie. Którejś soboty szłam z córką ulicą, przy której mieszkamy, jakiś ojciec pakował do bagażnika torbę, o samochód opierał się kilkuletni syn, a dookoła nich biegał drobnutki, łaciaty szczeniak, Jack Russell terier. Nagle, jak pyłek kwiatowy w zawieszynie, wykonał chaotyczny zwrot w kierunku szosy i wpadł prosto pod staczający się właśnie z progu zwalniającego samochód, za kierownicą którego siedziała sąsiadka z osiedla. Bardzo miła osoba. Grubsza, bezdzietna. Auto już wcześniej jechało po osiedlowej ulicy wolno, a na progu zwolniło aż do granicy utraty sterowności, pies już wcześniej biegał co okrażenie to szybciej, a ostatni wypadek wykonał z prędkością światła. Chrupnęło, jakby ktoś nastąpił na szklany koszyk. — Może nic mu się nie stało — powiedziałam do córki i odeszliśmy stamtąd jak najprędzej, bo nam było wstyd: za tego ojca, za sąsiadkę, za siebie.

Wcisnęłam dłonie w oczy, aż fontanny zaczęły zmieniać kolor z czerwonego w żółty, gdy nagle poczułam, że wszystko wokół stanęło: Mateusz zatrzymał samochód tak, że i ci za nami, i ci z naprzeciwka również się zatrzymali. Odważyłam się spojrzeć. Sięgnął do klamki po mojej stronie:

— Otwórz drzwi — zarządził, robiąc to za mnie. — Każ temu psu iść w stronę lasu.

— Ale on idzie do nas — powiedziałam przerażona. Jednocześnie popchnęłam szerzej drzwi otwarte już wcześniej przez niego. Ten ruch i ton głosu, jakim wydał mi polecenie, żebym to ja je otworzyła, sprawiły, że porzuciłam pokaz fontann i zaczynałam brać udział w akcji.

— A, to niech idzie — powiedział Mateusz, gotowy na każdy wariant.

Prawdopodobnie zamierzał kazać mi tego psa złapać i jednocześnie złapać go samemu, ale na szczęście pies pobiegł do swojej pani. Samochody stały, więc jego strach zelżał i powoli przestawał w swoim okokardkowanym łepku postrzegać samozatrąę jako jedyne rozwiązanie sytuacji. Na szczęście nikt jeszcze nie zaczął trąbić. Zwinęłam spódnice, żeby nie przyciąć jej drzwiami, usłyszałam, jak ta pani krzyczy za nami „dziękuję”, ruszyliśmy i wszystko z nami ruszyło.

Potem ze dwa razy pocałowałam Mateusza w rękę podczas jazdy, za pierwszym razem spojrział na mnie zdziwiony, bo to raczej była jego działka, całować mnie w rękę w czasie jazdy, za drugim razem po prostu zmienił bieg tą drugą.

— Stworzenie — powiedział. — Nigdy nie wiadomo, co zrobi.

Od tamtego momentu zaczęłam uważać, żeby nie zostawić w jego samochodzie rudego kręconego włosa do ramion. Jego żona miała czarne proste do połowy pleców. Zanim wsiadłam, związywałam włosy w ciasny węzeł: ogromnie trudno jest związać w ciasny węzeł rude kręcone włosy do ramion. Ale robiłam to, bo zależało mi na jego szczęściu. Szereg rzeczy zrobiłam jeszcze w miarę upływu czasu, bo zależało mi na jego szczęściu, a potem się rozstaliśmy, bo czegoż innego można było się spodziewać, ale nadal w poczuciu wzajemnego zrozumienia i na pewno nie przez mój rudy kręcony włos do ramion w jego samochodzie.

A mogłam przewidzieć, że tak będzie, mogłam nas całych zobaczyć jak na filmie już pierwszego dnia: mieliśmy pływać, ale tak naprawdę mieliśmy po raz pierwszy uprawiać seks i byłam bardzo spięta. Zatrzymaliśmy się na rogu kupić czereśnie na straganie, a potem w jakimś biedakerfie po zimne picie. Nie braliśmy koszyka, przyszliśmy tylko po dwa zimne picia. Mateusz wziął z lodówki kolorowe bezalkoholowe piwo, ja wzięłam podobne, ale nie takie samo, żeby było więcej detali w obrazie, na których mogłabym się skupić, gdybym nie była w stanie skupić się na seksie, i odruchowo schowałam puszkę do torby. Nie odruchowo, bo kradnę kolorowe bezalkoholowe piwa po biedakerfach, tylko odruchowo, bo byłam napięta jak struna i mój mózg nie zarejestrował, że jestem w sklepie i kupuję, zarejestrował tylko, że sięgnęłam po coś ręką i nadal to w niej trzymam, a przecież na ramieniu mam torbę. Mateusz zauważył to, przyciągnął mnie do siebie, objął mnie, ja go objęłam. Odruchowo. Jeden odruch unieważnił poprzedni. To już nie była próba kradzieży, nawet nie zdążyłam poczuć wstydu, na pewno nie wtedy. Przed kasą po prostu wyjęłam puszkę z torby, zapłaciliśmy, wyszliśmy, za dwie godziny miało zacząć się lato.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/bargielska-dlugie-czerwone-swiatlo>

Tekst opracowany na podstawie: Justyna Bargielska, *Długie czerwone światło*, 2020, wyd. I.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Aleksandra Sekuła.

ISBN 978-83-288-5928-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).